



K v ě t a L e g á t o v á

Želary



Z w i e r c i a d ł o n a w i e t r z e

¹

Nic tylko woda i woda, lekko pofalowana.

W jednym miejscu marszczy się i rozbija o kamienie. Tęczowe krople spadają na powierzchnię, wzburzoną i kipiącą.

W kałuży tapla się pluszcz. Dziwny ptak, który jednocześnie kąpie się i śpiewa. Jak okiem sięgnąć, rozciąga się górzysta okolica z nitką rzeki pod stromymi zboczami.

Przy brzegu zbiera się biała piana. Na jej powierzchni huśta się sosnowa szyszka, a na niej leży wymęczona pszczoła, nic nieznacząca, nawet wobec bezmiaru nadchodzącej śmierci.

²

Po wyboistej drodze, ciągnącej się wzdłuż rzeki, jedzie wóz. W wodzie koń kłusuje do góry nogami.

Droga jest niebezpieczna, ale woźnica, wyprostowany w szerokim rozkroku, popędza konia. Wiatr mu targa włosy, ogłusza go, ale mężczyzna nastawia piersi na wiatr, upojony jazdą śmieje się spierzchniętymi ustami, a po policzkach płyną mu łzy.

– Juliszko!

Ściągnął lejce. Dziewczyna się zatrzymała. Lekko podsadził ją na wóz razem z koszem.

– Wycinasz trawę pod skałą?

Zaczerwieniła się.

– Mamy wynajętą łąkę. Tam będziemy żąć.

Woźnica się zachmurzył. Był zły na siebie o tych parę słów rzuconych bezmyślnie. Co znaczy jedna płachta ostrej, kwaśnej trawy wyciętej gdzieś nad rzeką? Od niepamiętnych czasów wycina tam cała wieś. I wszyscy mają wynajęte łąki, gdzie będą żąć. Po drugiej stronie.

Juliszka wyprostowała boscie nogi i dotknęła wypchanego worka. Palcem wycisnęła w nim dołek. Ziarno. Starannie wygładziła płótno – i znowu się w nie wwierca poharatanymi palcami wziębłych nożyn. Potrafi cieszyć się z rzeczy, o których nawet nie warto wspomnieć. Patrzy w górę z głową odchyloną do tyłu.

Wierzchołki drzew zamoczone w błękitnie nieba.

Chwilami mruży powieki przed wiatrem i przez szparki obserwuje pędzące pnie, chwilami całkiem zamyka oczy i czuje tylko wstrząsy wozu, rozluźnia całe ciało, żeby jak najwięcej użyć z tej upojnej huśtawki.

Pasemka jasnych włosów powiewają jej koło uszu, jeden kosmyk łaskocze ją w nos. Ciemnoniebieskie oczy, ciągle jakby zdziwione tym, co widzą, rozświetlił odblask dziecięcego uśmiechu.

Zjeżdżają do jaru.

I znowu pod górę między skały, oddalają się od rzeki.

– Uhaaa, uhaaa! – krzyknął woźnica, nasłuchując echa. Skały odbiły jego głos.

Uhaaa! Uhaaa!

Już widać pierwsze domki na stoku. Zatrzyma się przed gospodą, przemknęło przez myśl Juliszce. Wsiądę przed gospodą.

Przez jej ciało przebiegła przyjemna fala. Od rana we wsi powstają drewniane szkielety straganów. Jutro w Żelarach zaczyna się odpust.

Zajrzę do Madlenki.

Niecierpliwie rzuca okiem w kierunku odległych dachów. Okrada się z czegoś – zapomina cieszyć się jazdą. Tak bardzo już chce zeskoczyć z wozu, wbiec do kowalowej obory, przykucnąć w zeszlorocznych liściach i popatrzeć na koźleta.

Urodziły się wczoraj, ale może już będą na podwórku, zajęte pierwszymi bójkami na żarty, pilnowane przez matkę – żywicielkę, obrończynię i wzór do naśladowania.

Juliszka kocha starą kozę kowala, którą w tym bogatym domu trzymają tylko z powodu mleka dla prosiąt.

Koza ją zna, ucieszy się ze spotkania, Joza przyniesie Madlenkę, kalekę Madlenkę, dawną koleżankę ze szkoły...

Juliszka spędzi z nią zaoszczędzony czas.

Wozem rzuca po porośniętą trawą zbocz, miejscami kwitnącym jaskrawymi kolorami lata. Widać całą okolicę. Wzgórza i lasy aż po zamglony horyzont. Tu i tam skupisko chałup, krzycząco niebieskich albo białych, ze spadzistymi dachami, na których nie utrzyma się śnieg. Każdy tu umie postawić sobie domek. Z drewna, z kamieni, z cegieł. Wystarczą trzy pomieszczenia połączone glinianą przyzbą: kuchenka, izba, obora. Potem jeszcze przylepi się gdzieś drewnianą komórkę.

Mijają dom starej dziwaczki Lucki Vojniczowej. Budynek jest drewniany, na wysokiej kamiennej podmurówce – jakby wyrastał z ziemi. Pachnie miętą, szałwią i dziewanną. W otwartych na oścież oknach kwitną pelargonie i fuksje a po ścianach pełzną ku nim szerokie liście dzikiego wina.

Juliszka parę razy była w środku. Wiedziała, jak Lucka mieszka. Z korytarza prowadzą schody, jedne w dół do piwnicy, drugie na stryszek, gdzie ze stropu zwieszają się wiązki suszonych ziół. Po strychu hula wiatr, okienka są pootwierane, mimo to przestrzeń nasycona jest przyjemną wonią.

Była tam razem z Żenią, córką leśniczego, koleżanką ze szkoły

i przyjaciółką – dni beztróskiego uganiania się po żelarskich lasach dawno minęły, zniknęły bez ostrzeżenia i bez zadośćuczynienia. Jeszcze tyle miały sobie do powiedzenia, kiedy rozstawały się na zawsze. Juliszka nie wie do dziś, dlaczego Żenia tak przylgnęła do tej wiedźmy ani dlaczego jej tajemnicza siedziba zawsze stała dla niej otworem.

Jak inni śnią o czarodziejskim zamku, tak Juliszka Gorczikowa marzyła o domku zielarki. O tej niemal pustej izbie, nagrzaną słońcem, zięjącej tajemnicą, rodzącej dreszczyk, ale nie strach.

Wyprostowała się, żeby w pędzie zobaczyć przynajmniej kawałek izby. Dostrzegła szerokie łóżko przykryte pierzynami jak nastroszony śnieg.

Na drogę wybiegł pies i rzucił się za wozem. O mało nie wpadł pod koła, miota się, ochryple szczeka, jeży wyliniały grzbiet, obnaża niemal bezzębne dziąsła, straszny i bezsilny w dzikiej furii schorowanej starości.

Dziewczyna wychyla się z wozu.

– Cicho, Rafan, nie szalej!

Woźnica drażni rozwścieczone zwierzę, smaga je po wychudzonych bokach. Pies gna obok furmanki, jego jedyne oko krwawo płonie. Jednak siły, które wściekłość wykrzesowała ze starych kości i ścięgien, już się wyczerpały. Wóz się oddala a Rafan leży na ziemi, oddech mu się rwie, z otwartego pyska wycieka spieniona ślina.

Koleiny skręcają ku drodze. Idzie nią jakiś mężczyzna. Nawet się nie obejrzał za jadącym wozem, przeskakuje rów, kroczy po ścieżce biegnącej wzdłuż drogi. Juliszka ze dziwieniem wpatruje się w jego plecy, na których kołysze się niewielki tobołek.

Zaleszak!

Mężczyzna idzie powoli, trochę pochylony, stawia równomierne, długie kroki, idzie jak maszyna.

Dziewczyna szepcze z przejęciem: – Toniu!

Woźnica nie reaguje. Nie odpowiada. Stoi sztywno wyprostowany na wozie, jakby skamieniał. Kostki dłoni, którymi ścisną lejce, zbiały.

A jednak to nie wyblakła twarz Wojty Zaleszaka wyłoniła się przed nim jak zjawą. Zobaczył cygańskie oczy jego brata, Jana.

3

Wysoko na skałach stoi młody gajowy Jura Machala. Stoi samotnie, górując nad okolicą, z czołem smaganym wiatrem, pod nogami ma zdradliwą głębię.

Przytknął do oczu lornetkę.

Poczuł, jak cierpnie mu skóra. Długo, uporczywie prowadził wzrokiem mężczyznę z tobołkiem na ramieniu.

Spojrzał na niebo, po którym rozwiały się białe strzępki.

Złapał się na tym, że odwleka moment, kiedy zacznie schodzić ze zbocza. Jakby tym zwlekaniem mógł oddalić to, co dotąd pozostaje nieznanne, co jednak zdarzy się dziś albo jutro, co jest nieuniknione, czemu zdecydowany jest stawić czoło, czemu wyjdzie bez obawy naprzeciw.

Zmrużył oczy na wietrze i ruszył w dół.

W dolinie spotkał robotników z kamieniołomu, którzy wracali z pracy. Zwolnili kroku, kiedy go dostrzegli, i wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Rozdrażniło go to.

Przechodzi obok nich ze ściągniętą twarzą i mrukliwie odpowiada na pozdrowienia. Czuje się jak na cenzurowanym. Ma ochotę skoczyć im do oczu i zedrzyć im z twarzy ten wyraz niechcianego współczucia.

Stary Judas, który włókł się na końcu, podszedł do niego i poprosił o papierosa. Gajowy bez słowa otworzył cygarniczkę. Stary poczęstował się i zamrugał zamglonymi oczyma.

Przygląda mi się, jakbym wracał z własnego pogrzebu.

W oczach roznieciły mu się ognie. Jednocześnie jasno sobie uświadamia, jak śmieszny byłby jego wybuch. Nie ma powodu do złości.

Jeśli się nie opanuję, wyjdę na chłystka, który nagle głupieje ze strachu.

Trzęsącymi się palcami powoli wyjmuję papierosa dla siebie, ze wszystkich sił koncentruje się tylko na tej czynności. Pierwszą zapałkę złamał, druga się zajęła. Stary Judas przygląda się jego ruchom.

W krzakach mignęła spódnica. Przez gęstwinę przedziera się babka od porodów Lucka Vojniczova, wąż, siwa kobieta o spojrzeniu pełnym miękkiej zadumy. Jura zatrzymał wzrok na koszu z ziołami i już wiedział, jak rozładować rozdrażnienie.

– Gdzie z tym tobołem, kmotro?

Lucka zatrzymała się i wyprostowała plecy. Jej wielkie, pełne melancholii oczy ożyły i zmieniły się nie do poznania.

– Nie dopytuj się za bardzo, żebym ci czasem nie powiedziała.

Jura czuje, że cudzy gniew go uspokaja. Chłodzi jak olej na oparzonej skórze.

– Jest na was skarga, żeście w Żelarach oskubali wszystkie miedze. Ludziom zdychają kozy. Będę wam musiał wlepić karę.

– A ja ci zaraz wlepię parę razy w tę twoją bezczelną gębę. Nie wyskakuj tu na mnie i lepiej uważaj, żebyś sam nie dostał kozikiem między żebra. Vojta Zaleszak nie zapomniał, przez kogo siedział w kryminale.

Jakby się przerwała grobla. Robotnicy spojrzeli po sobie.

Ma niuch jak kuna!

– Śmieście się, pijaczyny – zwraca się do nich Lucka – wam też nic nie ujdzie na sucho! Wszyscy wiedzą, kto gospodarzył Vojcie w pustej chałupie. Choćby ten Judas: ma na ścianie jego zegar z kukułką, no wyprzuj się tego, łajdaku, Marinka wszystko widziała! A kto mu rozebrał komórkę, kto potrzebował tyczek do

szczepek? Kto mu rozwalił sanie, czyj chłopak woził się na nich całą zimę?!

Jura słucha z ulgą. Nagle ogarnął go spokój, jest przedziwnie szczęśliwy i nawet skory do zaczepki.

– Mówcie lepiej o swoich złodziejstwach! – odszczeknął.

– Ciebie – wykrzykuje Lucka – ciebie dorwie pierwszego. A potem choćby i sznur, jemu jest wszystko jedno! Pisz testament, póki jeszcze ręka ci się nie trzęsie!

Gajowy pochyla się nad starą i z szyderstwem w głosie nuci ci-cho i z przejściem:

Dla ciebie rozmaryn, moja miła,

A dla mnie biednego ta mogiła...

– Oszczędzaj głos, nie wygrałam uszu na loterii! Mnie nie musisz udowadniać, żeś wypadł z wozu komediantom!

Stary Judas zaniósł się śmiechem. Ale nagle coś mu przeskoczyło w gardle, a śmiech zmienił się w urywany kaszel, jakby ktoś darł starą szmatę. Usiadł na ziemi i skulił się w sobie. Ludiek Kral przykleknął obok niego ze współczuciem.

– Znowu?

– Znowu. Cholerne życie.

Grzbietem dłoni otarł krwawą ślinę.

– Powinniście leżeć.

– A moje bachory ty będziesz żywić?!

– Nie wymawiaj się bachorami – wrzeszczy na niego Lucka bez śladu współczucia. – Nie pożywią się tym, co im wymalujesz na plecach! – Patrzy, jak Judas wyciąga korek z piersiówki. – Ciągniesz w sam raz lekarstwo na swoją chorobę. Ale jak będziesz zdychać, to przyjdiesz do mnie, żebym zrobiła cud.

Judas znowu zaniósł się kaszlem.

– Nie widzicie, kmotro? – powiedział Ludiek Kral z wyrzutem.

– Widzę. Lepiej niż ty, smarkaczu. Wielka strata! Jednego huncwota mniej.

Rzeka nie zajęczała, lasy się nie zachwiały. Żaden z mężczyzn nie pobladał. Słowa, które nie przeszłyby przez gardło najbardziej bezwzględnemu z nich, starucha wymawia tak lekko, że nawet nie brzmią okrutnie. Stara wiedźma, której spowszedniały wszystkie ludzkie strapienia, poczyna sobie, jak chce. Żadna chałupa w okolicy nie ukryje przed nią swojej tajemnicy. Zna wszystkie żale, które tłuką się tu o skały, miotają się jak wiatr i ziębą jak woda dzikiej rzeki.

Dawno temu zielarka była ognistą dziewczyną rzadkiej urody. Kochała się w chłopaku jak malowanie, ale wżenili go do młyna, bo siostry dorastały a w chałupie nie było ani jednej wstążki, którą mogłyby się przystroić. Lucka nie miała mu za złe ożenku, nawet nie przyszło jej na myśl, że mógłby się sprzeniewierzyć powinnościom brata.

Przeglądała swoje skrzynie i widziała, że są puste.

Dzień w dzień młody młynarz przechodził przez grzbiet góry na drugą stronę i stukał w znajome okno.

Czym byłbym bez ciebie, moja duszo!

Żonę swojego kochanka po raz pierwszy Lucka zobaczyła na odpuszcie. Ujrzała blade chuchro, ze śladami surowych pięści na policzkach.

Jednej chciał się przypodobać tym, że bił drugą.

Taki dowód oddania przejął Luckę zgrozą. Wieczorem przywitała go wyrzutami. Urażony kochanek próbował obrócić to w żart, więc chwyciła drewniany tłuczek do masła i rozwalila mu głowę.

Taki był koniec ich historii miłosnej.

W pomarszczonej twarzy wciąż widać cień urzekającego piękna. Ledwie uchwytny rys. Starucha nie jest z kruchego rodu leśnych boginek. Wchodzi w gęstwinę razem z mężczyznami, którzy otaczają Judasa i niechętnie szukają słów pocieszenia.

Jura ruszył wzdłuż rzeki.

Zastanawia się, co robić. Godziny, które nadejdą, będą wymagać cierpliwości, której dotąd nie zdołał się nauczyć. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo inaczej sam wejdzie Wojcie w drogę i wywoła awanturę. Najlepiej zająć się jakąś dziewczyną, jedną z tych, którym zawsze mówi, że są najpiękniejsze na świecie, i zabić czas pustą zabawą. Niedaleko mieszka Hedviczka Vlkošova.

Pomyślał, że jak zawsze zobaczy ją przez okno, jak siedzi przy maszynie do szycia. Ale dostrzegł ją wcześniej. Kopała w ogródku.

Kiedy stanął przy płocie, odłożyła łopatę.

– Juro, Vojta Zaleszak wrócił!

Nie było to przyjemne powitanie. Myślał, jak skierować rozmowę na inne tory, ale nie dała mu szansy.

– Zabije cię – szeptala z przerażeniem w oczach.

– Nie zabije. Napiłem się wody z zaczarowanego źródła.

Zamilkł. Patrzył na wykrzywioną płaczem twarz, w której pulsowało przerażenie. Ta dziewczyna naprawdę mnie kocha, przemknęło mu przez głowę. W nieoczekiwanym przypiływie pokory zawstydział się swoich letnich uczuć i zrobiło mu się jej żal.

4

Vrapenka to karczma i parę chałup. Karczma jest murowana, przestronna, z prostymi kolorowymi malunkami wokół okien i drzwi. Karczmarz malował je własną ręką, która nie otarła się o sztukę. Ale przecież ludzie nie przychodzą tu dla wrażeń artystycznych.

Przed karczmą stoją toporne stoły i ławy. W lecie przed zmrokiem nikt nie siedzi w środku. Choćby dlatego, że straciłby widok na drogę, po której jeżdżą wozy i wloką się stare baby z wiązkami chrustu na pochylonych plecach.

Przed szynkiem skupia się życie wsi.

O tej porze – tuż po południu – nawet w sobotę bywa mało

gości. Tylko dwa stoły są zajęte. Przy jednym siedzi garbarz Mraz, odludek i włóczęga, przesiąknięty ostrym odorem swojego rzemiosła. Posiła się słoniną z chlebem, każdy kęs zapija piwem. Je rękoma i oblizuje brudne palce. Przy drugim stole grają w karty. Jest tu siwy Blacha, którego nazywają Rysiem, karciarz-profesjonalista, który może siedzieć przy grze od rana do wieczora i od wieczora do rana, dopóki nie wygra tyle, żeby mógł się upić do nieprzytomności. Obok niego młody Hložek, postawny młokos, który jakoś nie może sobie wybrać zawodu i jest jeszcze na garnuszku u matki. Naprzeciwko – Sluka, ojciec siedmiorga dzieci. Po północy zawsze któreś z nich po niego przyjdzie i zaprowadzi go do domu. Dalej Valcharz, robotnik leśny, dzikus i zabijaka, który potrafi harować bez wytchnienia pięć dni w tygodniu.

Zza pleców mężczyzn grze przypatruje się karczmarz. Jest namiętnym karciarzem, chociaż sam nigdy nie gra, bo skąpstwo nie pozwala mu ryzykować.

Naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, ziele czarna gardziel kuźni. Czeladnik kowalski Joza karmi owsem z plecionki wychudzonego konia, który przed chwilą przywiózł kopiatą furę drewna.

- Zapłacisz za ten owies – wścieka się kowal.
- Jasne że zapłacę – odpowiada chłopak spokojnie.
- Pożycz mi parę groszy, chłopaczku.

Furman napiera na Jozę, patrząc na niego ponad grzbietem konia.

- Na chłanie?
- Czego się czepiasz, matole!? Nad koniem się użalisz, a człowiek może zdechnąć.

Joza zamachał mu przed nosem pustą papierową torebką.

Zatrzymał się przy ławce, na której siedziała dziewczyna oparta plecami o ścianę. Odłożył plecionkę i wziął dziewczynę na ręce.

Niesie ją na oczach chłopów, którzy przypatrują się temu od stołów w karczmie.

- To ci dopiero niańka, co?
- Dobrze wie, co robi.

W kuźni jest szaro, Joza lawiruje pomiędzy czyhającymi na niego sprzętami. Kowal rzucił za nim złym okiem, podejrzewa go tak samo jak tamci, powtarza to codziennie:

- Kuźni ci nie dam!

Joza go mija, jakby nie słyszał. Kaleka Madlenka spogląda ponad jego ramieniem, złym, prześmiewczym wzrokiem. Wszystkie upokorzenia pielęgnuje w duszy jak trujący kwiat.

W izbie na poddaszu zwraca się do niej matka.

- Obiecałam karczmarzowej chustkę.

Madlenka kuśtyka do okna, przytrzymuje się mebli. Ściegi, ściegi, od rana do wieczora ściegi. Tysiące ściegów w smutnych kolorach wzorów, jakie nosi się w tej okolicy.

Jedna sekunda. Jedno poślizgnięcie na oblodzonym zboczach. Chciała wstać, ale nogi się pod nią ugięły. Zaczęła krzyczeć. Pierwsza przybiegła Juliszka. Widziała nad sobą jej roześmianą, czerwoną twarz.

- Co ci się stało?
- Podwinęła mi się noga.

Do domu zaniósł ją garbarz Mraz. Niósł ją ostrożnie, nogi bolały tylko trochę i wcale się nie bała.

- Do małej trzeba zawołać doktora.
- Zwariowaliście? Do rana jej przejdzie.

Nie przeszło do rana. Ani do żadnego z następnych ranków.

Posłali po Luckę i po strasznej scenie Madlenka pojechała do szpitala. Leczenie kosztowało krocie, a kowalka przeklęła każdy wydany grosz. Nogi uratowano na tyle, że mogła utykać.

Matka wstydy się córki, a dziewczyna znajduje w tym słodczym zemsty. Zanurza się w niej jak w ciepłym źródle.

Joza wyżyma mokrą szmatę i owija nią szczotkę. O to, żeby poddasze Madlenki było czyste, dba tylko on.

Z zewnątrz dochodzi zawodząca melodia pieśni maryjnej.

Maryjo, Maryjo, lelijo czysta...

Maryjo, Maryjo, królowo gwiazdzista...

Drogą sunie procesja. Odpust świętecznie odmieni całą wieś. Każdą komórkę można będzie z zyskiem wynająć pielgrzymom.

Na czele procesji niosą krzyż. Chłopi przed gospodą ściągnęli brudne czapki. Zamarli w kłopotliwym milczeniu, patrzą tępo przed siebie.

Jeden Ryś odłożył karty i szerokim ruchem złożył ręce. Chłopiska się nudzą, modlitwa jest dla nich za długa, ale nie odważą się przerwać siwemu. Wszechmogący mógłby im przecież jakoś odpłacić.

Ryś porusza ustami.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, mam wyjść w tę dychę? Święć się imię Twoje, gdybym miał na ręku chociaż dwudziestkę! Przyjdź królestwo Twoje, Słuka nie powinien puścić tej lewy, bądź wola Twoja, Ty wiesz, jaki to dureń, jako w niebie, trzymaj, nade mną Panie Boże, rękę, żebym mu przebił tę ostatnią kartę, tak i na ziemi, on ją na pewno trzyma, dureń, chleba naszego powszedniego daj nam dziś, żeby tylko mnie nie przebili trumfem, i odpuść nam nasze winy, mogłem zagrać bez lew, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, gdybym nie miał tych dwóch dam, i nie wódź nas na pokuszenie, spraw, żeby mi kiedyś przyszła karta, Panie Boże, tym się nie da grać, ale nas zbaw ode złego, niczego od Ciebie nie chcę, tylko jednego asa, i do tego jeszcze kolor, amen.

Stary podniósł głowę i pokrzepiony modlitwą wyszedł w czerwieną siódmkę. Zauważył to Mraz. Zirytowało go to – tam czterech chłopów pomrukuje z zadowolenia przy karciochach, podczas gdy jemu pięty oblizuje senna nuda. Garbarz poczuł serdeczne obrzydzenie do czaszki Rysia, porosłej przypominającą

pleśń siwizną. Do tego jeszcze psuje mu widok. Rzucił kilka zdań, w których wyraził, co myśli. Ryś natychmiast się odciął, nazwał go przy tym huncwotem i śmierdzącym szmaciarzem. Na to Mraz oświadczył, że według jego rozeznania Ryś to zapijaczony wałkoń i złodziejskie nasienie, szuler i lump.

Rozmowa obudziła bernardyna, który wygrzewał się na słońku. Obok niego kury trzepały się w kurzu na drodze i sypały mu piaskiem w futro. Psisko otworzyło jedno oko, a ponieważ nie znalazło powodu, żeby otworzyć i drugie, ponownie zapadło w sen.

Przez drogę przechodzi grupa robotników z kamieniołomu, odziodziła się od nich stary Judas i z ociąganiem, jakby musiał przemyśleć każdy krok, zmierza do karczmy. Dwoma palcami dotyka czapki, ma to być powitanie i jednocześnie znak, że chce się przysiąść. Potem siada na ławie w rogu, nie przeszkadzając mężczyznom w grze i kłótni. Szerokim gestem przywołuje karczmarza.

– Przyszedłeś zapłacić, coś wypił na krechę?

Karczmarz wspiera się na pięściach na stole. Judas wyciąga do niego żylastą szyję.

– Nie wywalaj tak na mnie ślepiów, bo ci jeszcze wypadną. Zaczaj przestaniez wydziwiać. Idzie tu Wojta Zaleszak.

Karczmarz zamrugnął oczami, a chłopcy wokół stołu unoszą się, jakby ktoś ich ciągnął do góry za szyje. Stary uśmiecha się złośliwie. Jest świadom swojej ważności. Rozważa, czy to dobry moment, żeby zamówić na cudze konto śliwowicę.

Garbarz Mraz poruszył grdyką. W jednym zdaniu zawarł to, co myślą wszyscy, czego się boją i na co w przerażeniu czekają.

– Niech to jasny gwint!

5

Tonia Bartek przemknął koło karczmy jak wiatr. Ktoś go zawołał po imieniu, ale nie obejrzał się, poganiał konia, uciekał od wizji, która go prześladowała.

Jakaś młoda kobieta uskoczyła przed wozem i pogroziła mu pięścią.

Na rozdrożu pomógł Juliszce zsiąść z wozu. Widział, jak pacyzkowatymi rękoma luzuje pod szyją węzeł, który ją dusił. Poczł ostry ból, nawet nie wiedział dlaczego.

– Dziękuję, Toniu.

Zarzucił głową na znak, że nie ma za co.

Mogłem ją podwieźć na samą górę i zawrócić, nic by mi się nie stało.

Wskoczył na wóz i ruszył. Strząsał z siebie świerzbiące niezadowolone i pograżał się we własnej udreće.

Spomiędzy drzew wyrżał czerwony dach domu Bartków. Czteroletni chłopczyk zeskoczył z płotu, z krzykiem biegnie w stronę wozu.

Tonia uniósł syna z ziemi.

Razem wjeżdżają na podwórzec, wyprzęgają konia, prowadzą go do stajni.

Chłopiec podskakuje i z przejściem papple, bo ani jedna godzina dziecięcego dnia nie jest pusta.

Bartkova pompuje wodę i wita męża uśmiechem.

Tonia wyjmuje jej wiadro z ręki. Stawia je w kuchni przy piecu i trochę odlewa do glinianej misy do mycia. Pomieszczenie jest ciche, przytulne, czyste. Ładna kobieta stawia na stole misę gęstej zupy.

W Toni rośnie niepokój.

– Wojta Zaleszak wrócił.

Kobieta nawet nie drgnęła. Tylko oczy jej zamarły, są jakby ze szkła.

– Odsiedział swoje – mówi i ledwie porusza wargami. – Rozmawiałeś z nim?

– Nie.

Załomotało jej serce. W tej ciszy na pewno to słyhać.

– Jutro mu pošlę przez chłopca chleba i trochę twarogu, żeby nie myślał, żeśmy się go wyrzekli. Każdego może spotkać niezdęście.

Co ja wygaduję, Jezu Chryste!

– Może pójdzie do siostry.

Oboje wiemy, że nie pójdzie.

Tonia patrzy na ręce żony, które bezmyślnie podnoszą z podłogi paproch. Odezwalo się w nim gorzkie współczucie.

Na nic to wszystko, dziewczyno! Mówimy o jednym, a każde z nas myśli o tym drugim. Nad naszym strapieniem jeszcze się nie zamknęły wody.

Młody Bartek długo i powoli wyciera ręce. Bada twarz żony. Nawet nie wiesz, jaka się stawałaś piękna, ledwie się pojawiał. Janiczek, Jano, przyjaciel!

Wtedy, w tę lutową noc, nie byłem pijany. Wiedziałem, że został na mostku. Tego się nie domyślasz, moja miła, tego się nikt nie domyśla. Do rana nasłuchiwałem kroków i mówiłem sobie: umrze.

Tonia odłożył ręcznik, usiadł przy stole i zaczął jeść.

– Wojta będzie nas teraz potrzebował – mówi pochylony nad talerzem. – Mogłabyś mu jutro posprzątać.

Bartkova zrozumiała, że wyciąga do niej rękę, że chce jej pomóc pokonać cienkie lody. Podeszła do pieca i niepotrzebnie wyrównała ścierkę, która suszyła się nad blachą. Każdy krok był dla niej ponad siły, bała się, że upadnie na równej podłodze. Usiadła na ławie i zaczęła obierać ziemniaki.

Myślisz, że to takie łatwe? Że mogłabym wejść do domu Jana – i nie spadnie na mnie sufit, ściany się na mnie nie zwałą?

W czerwonej mgłę płynęła przed nią biała koszula Jana, wyszywana w drobny wzorek rodem z żelarskiej ziemi. Koszula bez ciała, poruszająca się na wietrze. Tak jak ją widziała po raz ostatni, brudną, porzuconą na tyczkach płotu.

Przebity strzęp.

Co mam tam sprzątać?

Ciężkie spojrzenie oparła na czarnej głowie męża.

Po co mnie tu przyprowadziłeś, Toniu? Dlaczego nie zostaliśmy w domu moich rodziców? Gdybym miała dziesięć żyć, wszystkie bym je tu zatraciła.

Kiedy tylko zamknę oczy, słyszę głos Jana i zbiera mi się na płacz.

Podniosła miskę z obierkami i poszła je wyrzucić na dwór. Przeszła próg i oparła się o ścianę.

Vojta wrócił. Spotkam się z nim, a on wspomni o bracie. Co sobie pomyśli, kiedy wykrzyknę: milcz!

Pavlik przyskoczył do matki, wywija jej przed twarzą zdechłą mysz.

– Popatrz, mamó! Co przyniosła Dajda!

Kobieta odruchowo zasłoniła się ręką.

– Boisz się?

– No pewnie.

Wysypała obierki. Wraca do domu, synek idzie z nią.

– Wyrzuc tę mysz i umyj ręce.

Pavlik jest posłuszny. Odrzucił mysz i z zalem patrzy, jak leci na gnojowisko. Chciałby ją pokazać ojcu.

Ojciec zakłada kapotę.

Bartkova chwyta go za ramię.

– Zostań, Toniu!

– Jest sobota, dziewczyno, co mam robić w domu!

Powiedział to łagodnym tonem, ale zrozumiała, że nie ustąpi.

– Nie jadłeś kolacji, ziemniaki są obrane.

– Już mam dosyć.

Dotknął dłonią głowy syna.

– Wrócę niedługo.

Bartkovej napłynęła krew do twarzy.

– Wrócisz pijany, tak jak zawsze!

Toni skamieniały oczy. Mimo to odezwał się bezsilnie, prawie bez gniewu.

– Dajże spokój.

Kobieta patrzy w ziemię. Na progu wydłuża się i rzednie cień męża.

Pavlik chwycił w obie garście matczyne spódnice.

– Jak będę duży, nigdy nie będę chodził do karczmy, mamó.

Co ty możesz wiedzieć, co będzie, jak będziesz duży! Może tak samo jak ja potkniesz się o jedno nieszczęsne spotkanie.

Wyjęła malowany talerzyk syna, pokroiła na nim dymiące ziemniaki, posoliła, na wierzch rzuciła grudkę masła. Obok postawiła garnuszek z mlekiem.

– Dlaczego nie jesz, mamó?

Pavlik ukląkł na krzesło i własną łyżką podaje jej kawałek ziemniaka. Otworzyła usta. Chłopczyk jest szczęśliwy, z przejęciem karmi zasmuconą matkę.

6

Lucka Vojniczova usiadła koło Mraza i zamówiła śliwownicę. Karczmarz ma wyśmienitą śliwownicę. Pędzi ją sam i szczyli się tym, że jej nie chrzci.

– Zanosi się na coś – rzuciła stara i popatrzyła na niebo.

Nikt nie odpowiedział. Jakieś otępienie odebrało mężczyznom głos, zaschło im w gardle, rosnące wzburzenie na próżno porusza im grdyki a na twarzach wyciska głupawe uśmiechy. Lucka widzi sześciu wyjątkowych lumpów, których coś wytrąciło z równowagi. Przyczyna jest jasna. Ścieżką od strony rzeki nadchodzi Zaleszak.

– Co się tak gapiecie?

Obruszyli się. Lucka powinna uważać na słowa. Są w stanie największego rozdrażnienia, przypominają poskromionych

łobuziaków, których po raz pierwszy w życiu czeka szczepienie.

Zaleszak jest coraz bliżej, obcasy jego butów z cholewami stukają na kamieniach i wygląda tak obco, że z trudem go rozpoznają. Wyraźnie widzą pobladłą twarz, kapotę z powiewającymi połami i nieforemny tobolek przerzucony przez ramię.

Wietrzą korzenną woń zbrodni, krwawej bijatyki i bezlitosnej zemsty.

Vojta, ten popędliwiec i zabijaka, w biały dzień, przy świadkach zadał trzy ciosy nożem gajowemu Jurze Machali i jest więcej niż pewne, że nie doprowadził dzieła do końca. Jura ciągle chodzi po ziemi.

Ale Jano nie żyje.

Kiedy Vojta się o tym dowie, wstąpi w niego bestia. W powietrzu kołysze się pętla i już jest gdzieś miejsce pod drewniany krzyż.

Vojta nie jest łagodną owieczką, nie ma co się łudzić. Zatopi w ofierze zakrzywiony nóż. Może teraz ma inne myśli i inne zamiary. Ale nie dziś, to jutro rozpacz i wściekłość wykurzą go z nory.

Dziwny człowiek – Vojta!

Zdawałoby się, że jest wcieleniem spokoju. Siadywał obok brata, zatopiony w sobie, daleki od zgiełku, który go otaczał. Aż tu nagle w jednej chwili wybuchał jak wulkan. Chłopy odstępowały do tyłu, zapierało im dech. W pięciu nie mogli dać mu rady.

I dlaczego?

Między Jurą i Zaleszakami spiętrzyły się gniewy. Lucka Vojniczova zeznała przed sądem: Oni zniosą jeden drugiego tylko z rozbitymi gębami.

Zapisali to w protokole.

Vojta zatrzymał się przed karczmą.

Stary Judas, który jest człowiekiem praktycznym i nie ma zahamowań płynących z przewrażliwienia, uniósł się z ławy.

– Witaj, przyjacielu! Siadaj tu z nami, zapłacisz to i owo!

Trzeba przyznać, że pozostali poczuli się dotknięci taką bezczelnością, przynajmniej w pierwszej chwili.

Vojta pozwala objąć się za ramiona i poprowadzić do stołu. Rozgląda się oczyma, które wyglądają, jakby były zasnutę pajęczyną.

Juda oblizwał popękane wargi. Zachęcony uległością Vojty sięga po jego tobolek i ściąga mu go z pleców.

– Co tam masz?

– Bieliznę. Kupiłem w mieście.

Nareszcie usłyszeli jego głos. Przez to, że przemówił, stał się bardziej ludzki. Siadł na skraju ławy, zawiniątko przycisnął do siebie. Omiata mężczyzn przyćmionymi oczyma, jakby ich liczył: Sluka, Valchar, Hložek, Mraz, Judas, Ryś. Karczmarz postawił na stole gorzałkę. Wzrokiem bazyliuszka przepala Vojcie kieszenie. Ile przyniosłeś z kryminału?

Chłopy wyciągają ku Vojcie szyje jak rozsierzzone gęsi, gęgają o niczym, a na końcu języka mają jedno pytanie, palące jak rozgryzione ziarno pieprzu. Tylko garbarz, w którego duszy tlił się gdzieś na dnie ciepły płomyk, przesunął pełnymi współczucia oczyma po jego twarzy.

– Jesteś zmęczony, chłopcze.

Powieki Vojty drgnęły.

– Szedłem na piechotę. Całą drogę. Dwa dni i dwie noce.

Judas podniósł szklankę.

– Wypijemy za to.

Nagle pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda.

– Vojta nie będzie pić. Nie może się upić.

Jakimś cudem znalazł się między nimi czeladnik kowalski Joza. Valchar i Sluka doskoczyli do niego i w tej samej chwili obaj zakotłowali się w powietrzu. Joza odrzucił ich jak dwa snopki.

Pochylił się nad Vojtą.

– Idź do domu.
Vojta podniósł na niego mętny wzrok.
– Poczekam tu na Jana.
Niewidzialna sieć zamotała się chłopom wokół ciała. Zamilkli.
Wybałuszają na Vojtę oczy jak śnięte ryby
Zaleszak wyczuł, że coś jest nie w porządku. Zmieniał się na twarzy, jakby dochodził do siebie po uderzeniu pioruna.
– Co? Co jest z Janem?
Odezwała się Lucka Vojniczova.
– To nie wiesz? Tej zimy zamarzył na śmierć na moście.
Chłopy pochrząkują, nie mogą odkaslnąć. Vojta wstał.
– Napij się – ciągnie go Judas z powrotem – zapij zmartwienie!
Vojta odtrącił go gwałtownie.
– Zostawcie mnie! Dajcie mi wszyscy spokój!
Chce odejść, ale karczmarz stanął mu na drodze. Vojta wyciągnął z kieszeni starą papierową torebkę i wytrząsnął z niej garść pomiętych pieniędzy.
– Nie mam więcej.
Odwrócił się plecami i postawił pierwszy krok. Pod lekkim brzemieniem ugiął się jak starzec.
– Ścięło go – powiedział stary Ryś.
– Trzeba to zapisać – odpowiedział Judas.
Vojta podświadomie ominął wieś. Idzie pustym zboczem, jest śmiertelnie zmęczony, ale idzie. Jest niewymownie sam. Brat, który był przy nim do ostatnich chwil, rozpląnął się gdzieś, odwiał go wiatr.
Wydaje mu się, że stąpa po popiele, w którym zapada się z każdym krokiem coraz głębiej.
Na skraju lasu rozkrzyczała się sójka. Zawahał się. Potem roześmiał się nerwowo i wszedł w gęstwiny.
Minione chwile powracały do niego w niewyraźnej płataninie. Dławił się nimi jak kurzem.

Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił? Dlaczego siostry nic mi nie napisały?
– Vojto!
Oczy Vojty musiały powrócić z bardzo daleka, żeby zobaczyć, kto się do niego odezwał. Kobieta w ubrana po miejsku, z gołą szyją, na której lśni łańcuszek z wisiorkiem. Wisiorek się porusza. Pewnie dlatego, że kobieta oddycha.
– Nie poznajesz mnie?
Ircza Marenina.
Wystrojona, z pańskim szykiem. Jak mogła się tak zmienić?
Ach, Boże!
Vojta patrzy na złoty łańcuszek. Chwycić i zerwać!
– Co się tak gapisz?
– Nic, tak.
– Czekam na ciebie.
– Na mnie?
Wisiolek znowu przyciągnął wzrok Vojty. Porusza się w górę i w dół.
Wzięła go za rękę. Dawniej to on brał ją za rękę.
Śliczniutką, wstydliwą Irczę w bluzce z wykrochmalonymi rękawami.
– Vojto – szepnęła miękko. Tak dobrze znał ten aksamitny ton.
Odtrącił ją szorstko.
Cofnęła się.
– Co ty sobie wyobrażasz... ty... bandyto?!
Wisiolek na szyi się huśta. Vojta wyciągnął po niego rękę. Twarda pięść trafiła go w twarz. Zatoczył się i upadł. Trafił łokciem na kamień, ból na chwilę zamglił mu oczy. Kiedy oprzytomniał, zobaczył omszały głaz, po którym sunie szczypawka. Przetoczył się trochę, żeby nie tarasować jej drogi.

Juliszka wróciła z trawą wcześniej niż zwykle, ale siostra zapytała:

- Gdzieś tyle zwłóczyła?
- Tonia mnie podwiózł.

Staza, która stała pośrodku podwórza z założonymi rękoma, niechlujna i rozczochrana, nie dostrzegła w tej odpowiedzi nic sprzecznego z logiką.

- Który Tonia?
- Bartek.
- Z niego też się zrobił niezły nicpoń.

Juliszka rozwiązuje płachtę, zgarnia naręczce trawy, niesie je do drewnianego chlewiku, na wpół zawalonego i przegniłego, skąd przez okienko kozy wystawiają swoje głodne mordy.

- Kozom nie dawaj, pasły się.

Nieszczęsne zwierzęta, uwiązane do palika w wyskubanej zagrodzie, przez cały dzień opisywały daremne kręgi, żeby gdzieś pod kamieniem trafić na rdzawą kępkę zdeptanej trawy.

- Są głodne.

Juliszka wrzuciła trawę do chlewika.

- Połowa by im starczyła. Tylko podepczą i rozrzucą.

Staza mówi ostrym, płaczącym głosem.

Mąż Stazy, który przy komórcie wyklepywał kosę, obejrzał się, przesunął papieros w kącik ust i krzyknął:

- Nie drzyj się!

Staza podniosła żdźbło i zaczęła je żuć. Wlecze się za Juliszką do chałupy, której przegniłe ściany wyginają się i cuchną zakisłymi śmieciami, dymem i pieluchami. Staza nie wietrzy. Mówi, że oszczędza ciepło.

Z przyjemnością patrzy, jak siostra pracuje. Sama nie może. Jest w połogu. Jest dziwnie słaba, pokłada się, kwęka, popłakuje i tyje. Wypluła przeżute żdźbło na kupę chrustu przy piecu.

Juliszka rozpała ogień i stawia na blasze garnek z ziemniakami.

- Nie mogłaś przynieść trochę grzybów?
- Nie ma grzybów.
- Nie ma, bo nie szukasz.

Juliszka nie odpowiada. Sprząta, chociaż od dawna wie, że nie przemoże tego bałaganu, który jej niedbałej siostrze jest w smak.

Ugotować, posprzątać, umyć dzieci.

Staza przyjmuje jej posługi jako oczywistość, przecież zaopiekowała się osieroconą siostrą i wychowała ją. Żyje w przekonaniu, że dług jeszcze nie został splecony. Juliszka myśli tak samo. Nawet we śnie nie przyjdzie jej do głowy, żeby przeciąć te niewolnicze więzy.

- Ciotka obiecała mi kurze podroby. Skocz po nie.

Juliszka wygląda przez okno. Z jednej strony widać czarny kąk nieba.

- Zdążysz przebiec. Idź i powiedz ciotce, że ten groch, co go posłała przez Tomaszka, był cały robaczywy.

Juliszka zrzuciła fartuch, trochę się ogarnęła.

Wybiegła z domu.

- Odstaw ziemniaki za chwilę! – woła przez ramię.

Uświadamia sobie, że jej krok jest lekki, odczuwa radość, jaką daje chód bez brzemienia. Wyobraża sobie, że może tak iść, gdzie oczy poniosą, włóczyć się ile dusza zapagnie, że ma czasu w bród i nie musi się nigdzie spieszyć, może się zatrzymać i pochylić nad rzeką, tam gdzie po wodzie biegają nartniki.

Podbiega kudłaty pies. Obwąchuje jej rękę i cicho, prosząco skamle.

- Nic nie mam, Szuhaj.

Chwyliła go dłonią za futro i przyjaźnie potarła. Zamerdał ogonem. Doleciał ostry gwizd. Pies nastawił uszu, znieruchomiał na chwilę. Potem rzucił się pędem. Gna tam, gdzie ze zбочa ześlizguje się popielatą falą stado owiec.

Na szczycie stoi żona Marka Gorczika, kuzyna Juliszki. Wypatruje męża.

Jest cicho. Okolica nabiera ostrych rysów. Wbiła się w przestrzeń. Marek Gorczik wyszedł spomiędzy pni świerków i przemieszcza się zwolna pod górę miarowym krokiem. Objęli się pośrodku zbocza.

Na uboczu pod lasem stoją drewniane zabudowania Zaleszaków. Połamany płot porastają kolczaste gałęzie tarniny. Tarnina i dzika róża. Juliszka nigdy nie miała dość widoku tych krzewów, które na wiosnę zasłaniały dom czerwonymi i białymi kwiatami. Jako dziecko chętnie tu siadywała, patrzyła daleko za rzekę, na ogromne czerwone słońce, zapadające pomiędzy szczyty, za każdym razem na nowo oczarowana kolorami zachodu, kulila się w klębek, obejmowała rękoma kolana, dopóki na niebie nie rozplynęło się ostatnie tchnienie tego wielkiego płomiennego piękna. Zaleszakowa często ją tam widywała i wołała do niej. Juliszka bała się jej. Nie była taka jak inne wiejskie kobiety i dziewczynka nigdy nie nazywała jej ciocią. Cerę miała zbyt białą, włosy zbyt czarne. I niespotykane fiołkowe oczy.

Tylko jej uśmiech napawał spokojem i wkradał się do serca.

Jano uśmiechał się tak samo.

Na niebie pojawiła się czarna chusta, słońce pali jadowicie.

Będzie wichura, pomyślała Juliszka i przyspieszyła kroku.

Kmotrę zastała przy kuchni. Na stole leżała oskubana kura.

– Posyłałście po mnie, kmotro?

Zatrzymało ją tłumione pssst! Stara przytyka do ust palce powykręcane przez artretyzm. Dokuśtykała do szafki, w której spomiędzy świętych obrazków wyjęła zdjęcie.

– Popatrz!

Juliszka patrzy na obcą, odpychającą twarz. Z izby dobiega terkotanie maszyny do szycia.

– Ircza w domu?

Kmotra przytaknęła.

– Szyje sobie fatałaszkę.

Westchnienie szczęścia, które dużo mówi. Koślawe palce stukają w obrazek.

– Dlatego po ciebie posłałam. Żebyś trochę Irczy pomogła. Mogłabyś jutro?

Jutro zaczyna się w Żelarach odpust, dzieci Stazy będą się naprzykrzać...

– Dobrze kmotro, przyjdę.

Zaskrzypiały drzwi, Ircza spostrzegła na stole zdjęcie.

– Rozmawiacie o nim?

– Przecież Juliszce możemy powiedzieć.

– Nie mówię, że nie.

Ircza stanęła obok przyjaciółki, przygląda się jej ostentacyjnie i drwiąco. W tym spojrzeniu nie ma już nic z dawnej przyjaźni. Powiew wiatru uderzył w okno. Zaskrzypiało.

– Muszę już iść kmoterko.

– Weź dla Stazki kurzy łeb i szyję, żeby mnie nie pomówiła.

Nowy powiew wiatru rozedrgał okno. W izbie poszarzało.

– Może zostaniesz, aż przejdzie?

– Nie, mam dużo pracy.

Kmotra idzie z Juliszką do sieni.

– On ma kawiarnię w Szadovej Hucie. Wiesz, że Ircza tam jakiś czas pracowała, no i całkiem zwariował na jej punkcie. Jest wdowcem, ale dzieci ma już dorosłe i zaopatrzone, więc dom i wszystko zostanie dla Irczy. Ma dziewczyna szczęście. – Matczyna radość dźwięczy jak rwący górski potok, zasłuchany sam w siebie. – Masz tu jeszcze kołacz. Ale nie dawaj go Stazie.

– Kmoterko, wiecie, że Zaleszak wrócił?

– Myślałam, że jeszcze rok posiedzi. Musieli go wypuścić za dobre sprawowanie. A skąd wiesz?

– Widziałam go.

– Jak wygląda?

– Jak zawsze.

– Od małego było wiadomo, że skończy na szubienicy. Kręcił się też koło Irczy, ale zrobiłam z tym porządek. Jano był lepszy. Jana szkoda. Chociaż po śmierci starej Zaleszakowej i on zszedł na psy. Obaj zresztą mają po kim. Z tatusia był największy zabi-jaka w okolicy.

– Co nam do tego, mamó – odezwała się z kuchni Ircza. Juliszka dostrzegła kątem oka, jak gasi niedopałek o brzeg stołu.

8

Juliszka przedziera się przez wietrzyisko. Wiatr nią rzuca, deszcz oślepia. Ślizga się po mokrej trawie, pada na kolana, z trudem łapie dech, połyka go razem z wiatrem przez otwarte usta i czuje, jak pali ją w gardle. Nie jest tak źle, przekonuje siebie i próbuje znaleźć jakiś urok w tej ogłuszającej szarpaninie.

Dobiegło ją huczenie wody. Przestraszyła się.

Zgubiłam drogę?

Zatrzymała się na brzegu rzeki. Woda jest wzburzona, dziko przewala się nad przełamany mostkiem.

Strach dodał jej sił. Wspina się po zboczu, obiema rękoma przytrzymuje się kępek trawy.

Niebo się otrząsa i jak straszliwy ptak przeczesuje czerwonym dziobem siwe pióra. Gdzieś daleko w górze turkoczą wozy. Bu-twiejąca ciemność miejscami świeci jak stary pień.

Dotarła do zabudowań. Wszystko jedno, do czyich. Załomotała do drzwi i jednocześnie chwyciła za klamkę. Klamka ustąpiła. Przebiegła przez sień i wpadła do szarego pomieszczenia, oświetlonego lampą naftową. Wiatr zatrzaskał za nią drzwi.

Ogarnął ją nienaturalny spokój.

Izba jest niemal pusta. Z niskiego sufitu zwieszają się włókna pajęczyn. Półki pełne różnych rupieci. Łóżko, a na nim kożuch,

na wpół zearty przez myszy. Obok pieca dzban, w którym pobłyskuje woda. Okiennice się nie domykają, jedna z nich jest pęknięta i pobrzękuje o szybę.

Mężczyzna, który stał przy oknie i patrzył na szalejące żywioły, odwrócił się. Przygaszona twarz Wojty Zaleszaka.

Co tu robisz, przelatujesz dziewczynie przez głowę. Tutaj, w pustej chalu-pie. Dlaczego nie poszedł do którejś ze swoich zamężnych sióstr?

– Zaraz pójde, Wojto. Tylko chwilę odpocznę. – Cała się trzęsła, głos jej się łamał. – Na zewnątrz jest okropnie. Myślałam, że się uduszę. Gnało mnie do rzeki. Woda zerwała kładkę.

Wojta podniósł ze stołu na wpół opróżnioną butelkę.

– Napij się.

– Co to jest?

– Gorzałka.

Odsunęła jego rękę.

– Wyglądasz jak zmokła kura. – Rzucił jej z łóżka dziurawy kożuch. – Owiń się.

Kożuch śmierdział myszami.

– Nie, dziękuję, nie jest mi zimno.

Zauważył węzełek, z którego kapala woda i krew.

– Co tam masz?

– Kmoterka dała mi kurzy łeb.

Skrzywił się.

Na zewnątrz huczała burza, w izbie było duszno i śmierdziało stęchlizną. Od czasu do czasu przebił się przez nią rześkim językiem powiew świeżego powietrza.

Wojta wskazał krzesło przy stole, jedyne, które miało cztery nogi, a sam usiadł na łóżku. Zatrzeszczało, ale nie zarwało się.

– Co nowego?

– Mnóstwo ludzi pomarło.

Nie uświadomiła sobie, że właśnie przekreśliła nóż wbity w pierś Wojty.

– Ciotki Gorczika też. Marek został sam i ożenił się.
Chciałby zapytać o Jana. Ale nie potrafi wymówić jego imienia.

– Marek?

– Ten na Hrzibie.

– Wiem, wiem.

Potem nastąpiła cisza, długa cisza. Każdy myślał o swoich sprawach. Dopóki w sieni coś nie zachrobotało. Dopóki coś upiornie nie zaskrobało do drzwi.

Vojta otworzył drzwi i przez próg przewaliło się ciało. Juliszka przy nim przyklęła.

Jura Machala.

– Jura!

– Już go diabli wzięli?

Vojta skrzyżował ramiona.

Juliszka rozejrzała się bezradnie. Przypadła do rozwiązanego tobołka i wyciągnęła z niego koszulę.

Przez zsiniałą twarz Vojty przebiegł skurcz.

– Zostaw! Nie dotykaj...

Juliszka się cofa.

– Nie teraz! Nie teraz! Nie teraz!

Jej głos go obezwładnił. Zatrzymał się.

Patrzy, jak dziewczyna moczy koszulę w dzbanie z wodą.

– Vojto, nie mogę zatrzymać krwi! Chodź tu i zaciśnij ten węzeł!

– Daj mi spokój – wychrypiał. Czuł, jak odurza go nienawiść.

– Nie zajmuję się trupami.

– On żyje.

– Tym gorzej dla niego. Niech zdycha.

Juliszka wyprostowała się.

– Musimy kogoś sprowadzić. Idź po Luckę.

Minęła długa chwila, zanim zrozumiał, czego od niego chce. Przebrała miarę. Takie zuchwalstwo! Wściekłość przerodziła się

w niepohamowaną wesołość, która napływa do oczu jak łyż, drapie w gardle i wywołuje chrapliwy śmiech.

– Proszę cię, Vojto, idź!

Ostatnie słowo zabrzmiało twardo.

– Nie jestem aniołem, dziewczyno.

Stała przed nim jak człowiek, który nie zamierza ustąpić. Wpatrywał się w jej zniszczoną, przemoczoną spódnicę, spod której wyglądały patykowate nogi, gapił się na jej wąskie ramiona, na zwisające w strąkach mokre włosy, przyklejone do głowy. Wykorzystuje swoją bezsilność.

Zacisnął wargi

– Dobrze wiesz, że to nie ma sensu.

– Musimy coś zrobić!

– Co mnie obchodzi Jura Machala? – krzyknął. – Wystarczy, że mi zapaskudził podłogę.

Na policzki wystąpiły mu plamy.

– Coś ci powiem – mówił dalej cicho, a w jego głosie słychać było drganie napiętych do granic strun. Obliznął wargi. – Nawet gdyby akurat nie było burzy i gdyby cała ta wyprawa na coś się mogła zdać, to dla Jury Machali nie kiwnę palcem. Nie kiwnę palcem, żebyś mnie nawet błagała na kolanach.

– Popatrz na niego!

– Patrę. I nie żał mi go ani trochę, jeżeli o to pytasz. – Wskoczył na stół i wyrwał jedną deskę spomiędzy belek w stropie.

– Jest. Ojcowa strzelba. Jest i kulka dla tego psa. Proś za gajowego, miłosierna dziewczynko, załamuj ręce, płacz!

Bez trudu wyrwała mu broń. Odrzuciła ją w kąt. Jego ręce były bezwładne, nie mógł się bronić. Wstrząsał nim niepowstrzymany śmiech.

– Pójdę sama, Vojto.

Urywany śmiech ustąpił. Chwytał ją za ramię.

– Nie ujdiesz nawet stu kroków, a skręcisz sobie kark. Posłu-

chaj!... Tam na dworze sam diabeł tańczy!... Widziałaś zerwaną kładkę? Do wsi prowadzi teraz tylko jedna droga. Ta sama, którą szedł Jura. Przez skały!

Dziewczyna naciąga chustkę na głowę. Swoją nieugiętością, swoim niesamowitym, szalonym spokojem doprowadza Wojtę do szału.

– Chcesz się zabić przez Machalę? Wracaj! Mówię ci, wracaj!
– Szarpnął ją do tyłu, ale wywinęła mu się. Jeszcze raz chwycił ją za ramię. Ścisnął. Wyrывała się mu ze straszliwą siłą.

Połamie jej kości.

Na czoło wystąpił mu pot. Puścił.

– Nic na świecie – wyrzuciła z siebie – nic na świecie mnie nie zatrzyma!

– Bo co? – krzyknął.

– Bo tak trzeba.

Ogarnęła go wściekłość zaprawiona nienawiścią, jaką czujemy do upartego dziecka, które sprzeciwia się naszej woli i bezmyślnie pędzi w sam środek niebezpieczeństwa. Wybiegł za nią na wiatr i wczepił się palcami w jej włosy. Był nieprzytomny z wściekłości. Nienawidził jej do szpiku kości.

– Wracaj! – chrypiał. – Jak zdechnąć, to zdechnąć. Ja pójdę.

– Ty? Dlaczego?

– Dlatego, że właśnie oszalałem!

– Wojto, skały są jak z lodu – dyszy Juliszka z ustami przy jego twarzy. Odtrącił ją na bok.

– Wracaj do środka i módl się, żebym wrócił.

9

Lucka Wojniczova wkroczyła w sam środek burzy. Tylko do niej dotarło, co Wojta powiedział w drzwiach karczmy, kiedy zachwiał się na progu i rozglądał się za kawałkiem podłogi, który mógłby go utrzymać.

Wyszli, zanim pozostali zdążyli się obejrzeć.

Zielarka ślizgała się po zboczu, padała, kaleczyła sobie rękę i czoło, centymetr po centymetrze wdrapowała się pod górę, a miary tego wyczynu nie zmniejszy nawet jego całkowita zbyteczność.

Bo Jura jest żywy, a rany, które mu Juliszka obwiązała, już nie krwawią. Ledwie odzyskał przytomność, otworzył spierzchnięte usta i wysyczał przekleństwo. Odkrył, że nie może poruszyć prawą ręką. Nie przeszkodziło mu to mu usiąść. Rozejrzał się i zobaczył miejsce najmniej oczekiwane ze wszystkich. Potrzęsnał głową z obawy, że to co widzi, to wytwór gorączki.

Juliszka odwróciła się i krzyknęła. Na pytania Jury odpowiadała zdławionym głosem, ale na tyle spójnie, że dowiedział się, co się stało.

Wstał i z trudem podszedł do stołu. Powąchał butelkę i w odróżnieniu od Juliszki pociągnął z niej zdrowo. Opadł na krzesło, zachwiało się, ale nie rozpadło. W ramię wgrzyzał mu się przekłety ból, dłonie paliły, na całym ciele nie miał jednego miejsca, które by nie bolało. Był w podłym nastroju, a obecność Juliszki nastrój ten jeszcze pogarszała. Usłyszał zniechęcony imię Wojty Zaleszaka, Juliszka wypowiedziała je kilka razy.

Powinien na nią huknąć, ale jest na to za słaby.

Znowu chwycił butelkę i znowu się napił.

– Nie przyjdzie, Juro, nie przyjdzie. Zabiłam go.

Jeśli nie przestanie, trzasnę ją tą butelką.

Ból duszy minął po pół godzinie i został tylko ten mniej ważny – fizyczny.

Lucka Wojniczova zrzuca w drzwiach mokry wełniak. Za nią wchodzi Wojta Zaleszak. Oboje dyszą jak po wyścigach.

Juliszka przypadła do spódnicy starej i schowała w niej twarz.

– Kmoterko!

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała Lucka, choć naprawdę wcale

się nie zdziwiła. Dotknęła zakrwawionego rękawa Jury. Zawył.

– Nie dotykaj mnie, stara więdźmo!

Starucha uśmiechnęła się z rozbawieniem. Leciutko trąciła go w ramię, był bliski omdlenia.

– Rozbierz go, Wojto!

– Niech się sam rozbierze.

– Ściągaj to z niego, ale już.

Vojta osunął się po ścianie na podłogę.

– Wy durnie! Ledwo was coś zabolę, a już umieracie! – powiedziała Lucka i delikatnie uniosła mu głowę. – Wstań. Połóżysz się na łóżku. Chodź, to tylko parę kroków.

Vojta posłusznie idzie. Kładzie się na zatęchłym sienniku.

– Podeprzyj go trochę i umyj mu twarz – rzuciła do Juliszki. Od razu zwietrzyła przepalanę. – Potem daj mu trochę wódki.

Dziewczyna zwilża ostatnią koszulę. Vojta czuje na czole chłód, który przynosi ulgę. Woda mu spływa za kołnierz, ale nie może się ruszyć.

Nie zależy mu na niczym.

Na zemście też już nie.

Morderczy gniew odpływa z jego duszy jak mętna woda. Zostaje po nim słodka pustka.

Lucka może się zająć łokciem Jury. Gajowy zaciska białe wargi i stara się nie jęczeć.

– Łapę masz nieźle wywichniętą. Chwyć się stołu.

Szarpięcie, Jura zawył. Z czoła spływa mu lepki pot. Dobrze, że wszystko wokół jest mokre od deszczu, bo nie utrzymał moczu.

W tym czasie w karczmie chłopcy zbierają się, by ruszyć w góry. Są przekonani, że Vojta Zaleszak rozprawił się z Jurą Machalą. Z tego, co do nich dotarło, najbardziej prawdopodobne wydaje się, że strącił go w jakąś przepaść. Żaden z ciekawskich nie jest aż tak załgany, żeby udawać oburzenie. Hložek proponuje, żeby się rozdzielić: dwóch z nich pójdzie po żandarmów.

Pomysł jednak upadł, bo wszystkim pilno było ujrzeć zmasakrowane ciało Jury.

A także dlatego, że młody gajowy właśnie przechodzi przez jar. Nie widzi zbitej grupki u podnóża góry. Jedną ręką podtrzymuje drugą, zawieszoną na chustce Lucki.

W chacie Zaleszaków mężczyźni zastali obie kobiety i bladego Vojtę, leżącego na sienniku.

– Co mu jest?

– Ma bydłęcą zarazę. Więc nic tu po was, wynocha – poinformowała ich Lucka.

Trochę nadziei im zaświtało, kiedy zobaczyli strzelbę. Była zarzewiała, przez całe lata lało się na nią z dziurawego dachu i nie dałoby się z niej ustrzelić nawet polnej myszy.

Stało się coś dziwnego. Coś nieprzewidzianego i przez to nie-ludzkiego. Odchodzą z ogromnym zdziwieniem rybaków, którzy wyciągnęli z rybnej rzeki puste sieci.

Wieje chłodny, świeży wiatr. Burza przeszła a omyte lasy wydzielają ostrą woń. Jest cudowny wieczór. Zachodzące słońce kołysze się w rzadkiej pianie, która mieni się wszystkimi kolorami. Na zboczach skrzy się zieleń trawy, woda w rzece połyskuje.

Juliszka ześlizguje się po mokrej trawie w stronę domu.

Nagle okazuje się, że to bardzo blisko.

W kuchni jest tylko szwagier. Zauważył jej podarte ubranie, przez które prześwieca goła skóra.

– Gdzie byłaś?

– Schowałam się u Zaleszaków.

Uśmiechnął się. Coś ją w tym uśmiechu zaniepokoiło. Kiedy podszedł bliżej, odskoczyła. Chwycił ją w pasie, przycisnął do siebie i położył jej na ustach szeroką dłoń.

– Nie wrzeszcz!

Udało jej się krzyknąć.

Zobaczyła twarz Stazy, ale tylko przez chwilę. Potem poczuła

uderzenie w plecy i zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Upadła na kolana, ale gradobicie ciosów postawiło ją na nogi. Przedarła się przez nie i wybiegła z domu.

– Ty dziwko! To takie rzeczy wyprawia z moim mężem, ludziska, tak go uwodzi!

Juliszka zrozumiała, że w jej życiu coś nieodwołalnie zostało przecięte. Z nieznaną dotąd lekkością przeskoczyła ponad wrzaskiem Stazy jak nad niewielkim wybojem na nowej drodze.

Pojutrze Ircza zaprowadzi ją do przytułku dla dziewcząt w Szadovej Hucie, skąd panie wybierają sobie służące.

Rozejrzała się po okolicy.

Na wprost niej jarzył się pas nieba, z przeciwnej strony nadciągała noc. Nad każdą chałupą chwiał się obłoczek dymu.

Sama nie wie dlaczego – ani przez chwilę o tym nie pomyślała – ruszyła w kierunku chałupy swojego kuzyna Marka, z którym nie widziała się całe lata.

Żona Marka jej nie poznała. Patrzyły na siebie zmieszane, aż wyszedł Marek i odezwał się do Juliszki tak, jak mówi się do kogoś, na kogo się czeka od dawna.

